



Adam Cebula „Pophistoria, czyli sos z uralskiego bombowca”

nimfa bagienna



Foto: Adam Cebula

Gdyby nie zginął kierowca bombowca, gdyby Niemcy mieli więcej samolotów, gdyby III Rzeszy nie opanowało szaleństwo, gdyby... Gdyby. Adam Cebula i jego refleksje z kokpitu niemieckiego samolotu dalekiego zasięgu.

Grzebiąc w sieci raz po raz natrafiam na namiętne dyskusje o losach II wojny światowej. Chętnie i często walczona jest sprawa bombowca strategicznego dla III Rzeszy. W skrócie sprawa wygląda tak, że Niemcy nie mieli odpowiedniej maszyny zdolnej do zabrania znacznego ładunku bomb – i przede wszystkim do odbycia lotu na trasie liczącej tysiące kilometrów. Brak takowej konstrukcji nie był ponoć długo przeszkodą, ale zemścił się po ataku na ZSRR. Rosjanie wywieźli swoje zakłady przemysłowe za Ural. No i stały się one niedostępne dla hitlerowskich uderzeń. A gdyby Niemcy mieli taką maszynę, losy wojny niechybnie potoczyły by się inaczej.

Nie mieli, bo hołowali doktrynie wojny błyskawicznej. Zgodnie z jej teorią chodziło o to, by przejąć przemysł przeciwnika w możliwie nienaruszonym stanie. Nie było sensu niszczyć czegoś, co się chciało zdobyć. Tak mniej więcej tłumaczą to sobie internauci. Zatem Hitler zaledwie „przechytrył”, wywołując wojnę z ZSRR, i o włos jej nie wygrał, bo owszem, jeszcze przed wybuchem II wojny światowej niemiecki przemysł oferował konstrukcje maszyn bombowych dalekiego zasięgu.

Skąd się wzięła legenda bombowca strategicznego, który miał uratować inwazję na ZSRR? Zapewne chodzi o historię Walthera Wevera. Nazista zafascynowany ideą zdobycia przestrzeni życiowej na wschodzie był inicjatorem zbudowania samolotów Do-19 i Ju-89, którym przypisuje się nazwę „uralski bombowiec”. Miały one zasięg wystarczający do osiągnięcia rosyjskich ośrodków produkcyjnych. Walther Wever zginął w wypadku lotniczym, po czym program budowy bombowców przerwano. Za głównego winowajcę takiego stanu rzeczy uważa się Alberta Kesselringa.

W wielu miejscach w Internecie pisze się, że Wather Wever był człowiekiem, który dobrze zrozumiał zarówno idee Adolfa Hitlera opisane w Mein Kampf, jak i strategiczne znaczenie lotnictwa. Albert Kesselring (http://pl.wikipedia.org/wiki/Albert_Kesselring) bywa przedstawiany jako niemal sprawca katastrofy III Rzeszy. Uznał dwa modele samolotów dalekiego zasięgu (wspomniane Do-19 i Ju-89) za nieprzydatne. Jednym z powodów było wysokie zużycie paliwa. Najważniejszym (prawdopodobnie) za małą prędkość. Dla Do-19 podawana (za Wikipedią) 315 km/h maksymalna, 250 km/h przelotowa

czyniłaby z tego samolotu łatwy cel i dla myśliwców, i dla obrony przeciwlotniczej. Dla Ju-89 jest podawana prędkość maksymalna 390 km/h, a przelotowa 315 km/h, ale i te parametry były kiepskie.

Pomimo tego w wielu miejscach (jedna z książek, która tak rzecz traktuje, ma tytuł bodaj „Asy lotnictwa III Rzeszy”) historia jest przedstawiana jako ścieranie się działań wizjonera i przyziemnego urzędnika, który wszystko psuje. Bo gdyby wizjoner nie zginął, a Do-19 i Ju-89 były na stanie, Niemcy niewątpliwie pokonaliby Sowietów.

Ile w tym prawdy? Bazując tylko na informacjach, jakie podałem, rzecz wydaje się mocno wiarygodna. Faktycznie, gdy zaczął się paniczny odwrót sił przed niemiecką armadą, a wszystko wywożono możliwie najdalej od terenów działań wojennych, oczywiste wydaje się zmasowane użycie lotnictwa. Na wyobraźnię działają sceny kręcone z samolotów (zazwyczaj... angielskich i amerykańskich) bombardujących niemieckie urządzenia komunikacyjne, na których efektowne wybuchy wszystko demolują. Więc gdyby nie kolej, gdyby rozwalić węzły komunikacyjne, nie dałoby się wywieźć... i tak dalej.

Skorygowania wymaga na początek koncepcja wojny błyskawicznej. Rzecz nie w błyskawicznym zajęciu niezniszczonych terytoriów z funkcjonującym przemysłem, ale w tym, że już przed I wojną światową wszelkie kalkulacje wskazywały, że wojna będzie NIEOPŁACALNA. Każde dłużej trwające działania wojenne pochłoną więcej, niż w ich wyniku się zdobędzie. Nie wywołuje się wojny po to, by sobie powalczyć, ale po to, by w jakiś sposób zyskać.

Jedyny wariant, który wydawał się nierujnujący, to krótka, kilkumiesięczna kampania. Jakakolwiek wojna musiała być krótka, aby była sensowna.

Koncepcja wojny błyskawicznej wywodzi się ze szczupłości zasobów. Należy wojsko przygotować do zdobycia celów militarnych za pomocą szybkich manewrów, zgromadzić zapasy, przygotować odpowiednio przeważające siły na decydujących kierunkach, no i... modlić się, by nic się nie popsulo. Jak pokazała I wojna światowa, Blitzkrieg wymaga po pierwsze szczęścia. Kalkulacje wojskowych taktyków muszą być bez błędów, dane wywiadu precyzyjne, nie może dojść do pomyłek podczas samych operacji. Zaopatrzenie musi działać bezbłędnie, oddziały nie mogą się gubić w terenie, własna artyleria nie może mylić nastaw, bo wszystko jest w ruchu, za chwilę tam, gdzie był nieprzyjaciel, znajdą się nasze wojska.

I wojna pokazała, że Blitzkrieg dobrze się zaczyna, lecz już po krótkim czasie zamienia się w morderczą wojnę w okopach, której jedynym skutkiem są straszliwe straty po obu stronach. Nie ma mowy o jakichkolwiek zyskach.

Niemcy nie dlatego nie zbudowali bombowca strategicznego, że Hitler miał taką fantazję. Mieli za szczupłe moce przemysłu. Oni zwyczajnie koncentrowali się na rzeczach najważniejszych dla przyszłej kampanii. Przy założeniu, że postępy wojsk będą szybkie, a operacja potrwa krótko, niszczenie zaplecza nie miało znaczenia. Przerwanie produkcji, zwłaszcza surowców, mogło się objawić kłopotami nieprzyjaciela dopiero po wyczerpaniu przynajmniej bieżących zapasów. Zniszczenie rafinerii daleko od frontu przerwie dostawę paliwa dopiero wówczas, gdy skończą się one w wojskowych magazynach, gdy przyjadą na front ostatnie transporty. Podobnie zniszczenie fabryki amunicji wojsko odczuje po wyczerpaniu swoich zapasów. To potrwa długo, o wiele za długo, jak na dynamikę działań Blitzkriegu.

To, co było ważne w wojnie błyskawicznej, to zniszczenie właśnie tych podręcznych zasobów, które były w bezpośrednim użyciu wojska. A poza tym – hitlerowcom tak naprawdę brakowało wszystkiego, co było niezbędne do osiągania militarnych celów. Nie mieli dobrych czołgów, takich jak np. T-34 czy Sherman.

Te obie konstrukcje przez długi czas były przedmiotem kpin znawców uzbrojenia, były gorsze od Panther czy Tygrysów. Sęk w tym, że owe znakomite czołgi hitlerowców pojawiły się dopiero około roku 1943, a poza tym, że miały szereg technicznych przewag, nie nadawały się do wygrania wojny. Za Wikipedią: Shermanów wyprodukowano podczas wojny 49000, T-34 wszystkich wersji 57000. Panther 6000, Tygrysów 1355 (ostania liczba za portalem <http://historia.wp.pl>). Shermanów wyprodukowano 6,6 raza więcej niż Panther i Tygrysów, T-34 7,7 razy więcej. Łączna produkcja T-34 i czołgu Sherman była 14,4 razy większa od produkcji Tygrysów i Panther.

To wyliczenie jest trochę oszukane: wrzuciliśmy po stronie niemieckiej do jednego worka czołgi średnie i ciężkie, których wspólną cechą jest sława świetnych maszyn, a po stronie aliantów zsumowaliśmy tylko produkcję kiepskich czołgów średnich. Właściwe byłoby porównać, jak się miała produkcja Panther do T-34 i Shermanów. Alianci wyprodukowali swoich średnich czołgów łącznie około 106000, to jest 17,66 raza więcej, niż wspomniane 6000 Panther. Dla porównania: szacunkowa produkcja radzieckiego czołgu ciężkiego IS-2, który jest odpowiednikiem Tygrysa, wyniosła 3500 sztuk. Oczywiście to sprawa do dyskusji, czy IS-2 z armatą 122 mm był przeciwnikiem dla Tygrysa z armatą 88 mm, ale było ich prawie 2,6 raza więcej.

Niemcy potrzebowali konstrukcji, która dawałaby się tłuc ze sztancy w ogromnych ilościach, łatwej do transportu, możliwej do naprawy w warunkach bojowych, a także niepożerającej ogromnych ilości paliwa.

Warto tu przypomnieć, że w ZSRR istniały zespoły konstruktorów, których zajęciem było upraszczanie konstrukcji w T-34. Do końca wojny udało się zmniejszyć liczbę części działa z 861 do 614 (przy zachowaniu parametrów).

W III Rzeszy doceniono po bitwie pod Kurskiem wartość masowej produkcji. Przygotowywano do niej okręty podwodne typu XXI. Ta konstrukcja, która miała odwrócić katastrofę, jaka spotkała podwodną flotę w 1943 roku, miała być składana z modułów produkowanych w wielu zakładach i spławianych rzekami do stoczni, gdzie dokonano by finalnego montażu. Jednak powstało tylko kilka jednostek. Niezwykle, nowoczesne jak swój czas okręty, przegrały w konkurencji o moce produkcyjne fabryk z myśliwcami. Hitler zdecydował o obniżeniu priorytetów okrętów, a nadaniu największej ważności produkcji myśliwców.

Alianci prowadzili systematyczne bombardowania przemysłu niemieckiego począwszy od 1940 roku, i ich intensywność systematycznie narastała. Te bombardowania zmuszały Niemców do przenoszenia produkcji w różne odległe miejsca, rozpraszania jej, czy wreszcie budowania monstrualnych schronów m.in. do montażu czy remontów okrętów podwodnych. Przez bombardowania w masywach górskich Wielkiej Sowy drążono ogromne sztolnie. Budowle ochronne pochłaniały wielką część potencjału niemieckiego przemysłu, który powinien produkować np. U-Booty.

Jak po wojnie w pamiętnikach przyznał Speer, bombardowania zmuszały do utrzymywania w stałej gotowości wojska przeciwlotnicze na całym zajęтым przez Niemcy terenie. Potrzebowały one zapasów amunicji, tysiące żołnierzy musiało być utrzymywanych, często przez całe miesiące bez kontaktu z wrogiem. Nie można było tego zmienić, bo nikt nie wiedział, gdzie nastąpi kolejne uderzenie.

W walkach z nalotami Luftwaffe ponosiła ciągłe straty. Pomimo że zazwyczaj większe straty były po stronie aliantów, to ich liczbowa przewaga powodowała, że myśliwce nie potrafiły rozbić wypraw bombowych, a lotnicy ciągle ginęli i nie można było ich zastąpić ze względu na długi okres szkolenia. Siły lotnicze systematycznie i w zastraszającym tempie się wykruszały.

Tylko nieliczne zakłady dawały się przenieść do podziemi. Zniszczenie pozostałych przynosiło często

bardzo dotkliwe straty. Przykład: nalot przeprowadzony w nocy 16 na 17 maja 1943 r. przez dywizjon Dam Busters, Niszczycieli Tam, spowodował zalanie Zagłębia Ruhry (http://pl.wikipedia.org/wiki/Operacja_Chastise). W nocy z 16 na 17 sierpnia 1943 roku zniszczono ośrodek rakietowy w Peenemünde.

Poniekąd jest oczywiste, że w tej sytuacji potrzebne były myśliwce do zwalczania samolotów bombowych. Zwłaszcza do ochrony lotnisk, które systematycznie atakowano w celu wyeliminowania Luftwaffe.

O tym, że niemieckie doskonałe myśliwce mają wady, hitlerowcy przekonali się już podczas bitwy o Anglię. Messerschmitty Bf 109 miały za mały zasięg i podczas wypraw na Londyn musiały wracać po 10-20 minutach. Na skutek tego niemieckie bombowce były kiepsko chronione. W dalszych latach wojny lotnictwo aliantów waliło w Niemców jak w kaczę kuper. Straty wypraw bombowych rzadko przekraczały kilka procent, i było całkiem jasne, że Luftwaffe nie jest w stanie ich powstrzymać. Brakowało myśliwca, który miałby zdecydowaną przewagę nad samolotami aliantów, zarówno operując na krótkich dystansach, jak i na długich.

Jak zgodnie pisze wiele źródeł, Niemcy w roku 1941 w okolicy maja przerwali naloty na Anglię. Powód był oczywisty: przerzucono lotnictwo dla wsparcia ataku na ZSRR. Samolotów generalnie brakowało, najbardziej myśliwców, co widać choćby po liczbie wyprodukowanych sztuk maszyny Messerschmitt Bf 109. Było ich 30 000 (podawana jest też liczba 30500), a Focke-Wulf Fw 190 - 18 000 sztuk; podawana liczba (Wikipedia) zapewne dotyczy wersji myśliwskiej.

Potrzebne były myśliwce do walk na froncie, potrzebne były specjalistyczne samoloty zwalczające alianckie wyprawy bombowe. Takie samoloty, które miałyby duże prędkości wznoszenia, dużą przewagę w walce z myśliwcami osłony bombowców, ale niekoniecznie długi czas lotu i zasięg, ponieważ mogły operować w pobliżu lotnisk. Tak powstały Messerschmitt Me 163 o napędzie rakietowym, Heinkel He 162 z silnikiem turboodrzutowym i Messerschmitt Me 262 „jaskółka” z silnikami turboodrzutowymi. Wszystkie konstrukcje wprowadzono za późno i w znikomych ilościach. Dlaczego? Bo takie były możliwości (czy raczej ich brak) w przemyśle.

W rezultacie nie było ani myśliwców, ani okrętów, działał efekt koldry, która okazywała się za krótka, by cokolwiek przykryć.

Trzeba jednak chyba uznać, że Niemcy posiadali bombowce strategiczne. Heinkel He 177 miał osiągi lepsze od Lancastera, m.in. zasięg podawany - 5600 km. W przeciwieństwie do Junkersa Ju 390, zdolnego dolecieć do Nowego Jorku, był maszyną realnie produkowaną (za Wikipedią: zbudowano 900 takich maszyn). Dla porównania Avro Lancaster powstał w liczbie 7377 sztuk.

Jeśli chcemy kombinować o tym, co by było, gdyby, to dlaczego przynajmniej dwa realnie produkowane typy bombowców dalekiego zasięgu nie odwróciły biegu historii w wojnie z Sowietami? I chyba trzeba sobie zadać zasadnicze pytanie: a jak miałoby wyglądać zwycięstwo?

Ciekawa sprawa: wielokrotnie czytałem o różnych tajemnicach II wojny światowej, ale nigdy nie znalazłem prostej informacji, jak właściwie miał wyglądać ten plan Barbarossa. To znaczy jak hitlerowcy wyobrażali sobie pokonanie ZSRR. Dokąd zamierzali dojść, w jakim czasie? Na co liczył Hitler? Że po pokonaniu kolejnych kilkuset kilometrów za Moskwą Stalin się podda?

Operacja Fall Blau, którą Niemcy rozpoczęli w 1942 roku, miała przynajmniej werbalnie jakiś cel, i przynajmniej w teorii miała rzucić ZSRR na kolana. Był to atak na południe w kierunku Stalingradu i Kaukazu. Miał na celu dotarcie do sowieckich pól naftowych i przerwanie transportu rzeczno-wojewódzkiego. Wołga była ważną drogą transportową, odcięcie od pól naftowych na Kaukazie byłoby dla Sowietów

katastrofą, więc atak na południe w kierunku Stalingradu i Kaukazu miał sens. Rzecz w tym, że to były teorie Hitlera, a do tego atak podjęto w lipcu 1942 roku, dając Rosjanom czas na mobilizację rekrutów, zgromadzenie broni i wszelkiego wyposażenia.

Jak oceniali (znów za Wikipedią) Anglicy, w 1938 roku 80% radzieckiej ropy pochodziło z Baku, a tylko 20% z pól kaukaskich. Niemieckie wojska nacierały w kierunku Groznego. Być może gdyby nie upór Hitlera, by zająć Stalingrad, zdołałyby posunąć się jeszcze dalej, może nawet kilkaset kilometrów. Lecz jest wątpliwe, by osiągnęły coś istotniejszego, niż wykonanie rajdu po obcej ziemi. Aby zrobić realną krzywdę zaopatrzeniu w paliwo, musiałyby dotrzeć aż nad Morze Kaspijskie. Trzeba było pokonać jakieś 500 km przez tereny Czeczeni i rozciągnąć linię frontu na oko o jakieś 700-1000 km.

Czy było to realne? Planując taką operację, trzeba byłoby wziąć pod uwagę wiele czynników, w tym trudniejszy teren, dramatyczne wydłużenie się tras zaopatrzenia, lecz wystarczy ograniczyć się do twardych danych historycznych. Skoro Armia Czerwona potrafiła zamknąć w kotle armię Paulusa, potrafiłaby tym bardziej (przy dramatycznie rozciągniętym froncie) odciąć wojska pchające się w góry.

Powodem ułańskiej szarży w kierunku Wołgi było to, że Hitler chciał mieć jakieś sukcesy. Reszta frontu stała w miejscu z tego powodu, że Wehrmacht stracił już jakieś 850 tysięcy ludzi, ogromne ilości sprzętu, miał kłopoty z zaopatrzeniem. Na większą operację nie było już sił, więc wszystko, co można, rzucono na ryzykowny rajd. Tymczasem Armia Czerwona powiększała swój stan osobowy i uzupełniała wyposażenie.

Gdy omawiamy braki w lotnictwie, to nie bombowiec strategiczny, ale zajechanie na śmierć „zwykłych” samolotów transportowych było jedną ze składowych katastrofy pod Stalingradem. Brakowało maszyn i prawdopodobnie w największym stopniu pilotów. Z braku osłony lotnictwa myśliwskiego Sowietów polowali na samoloty zaopatrzenia, bombardowali lotniska. Gdy Sowietów zamknęli kocioł, okazało się, że Luftwaffe ma 150 sprawnych Ju 52, a 100 stracono podczas desantu na Krecie. Tymczasem potrzebowano przynajmniej 250 takich maszyn. W moście powietrznym brały udział wszystkie samoloty, jakie dało się zorganizować, także wspomniane He177.

Operacja Fall Blau właściwie osiągnęła swój cel – to znaczy Niemcy 9 sierpnia zdobyły Majkop, wokół którego były pola naftowe, jednak ich instalacje zostały zniszczone przez Sowietów. Trudno powiedzieć, jak Niemcy sobie wyobrażali eksploatację. Wygrzebałem informację (<http://bartoszmendyk.natemat.pl/142117,ii-wojna-swiatowa-z-bakijskiej-perspektywy-ii-baku-i-marginalizacja>), że niemieckie wydobywanie wynosiło nie więcej niż 70 baryłek (ok 11 130 litrów) dziennie w styczniu 1943 roku. Dla porównania Tygrys tankował 525 litrów benzyny i na jednym zbiorniku mógł przejechać w terenie 60 km. Zaś jednorazowe tankowanie projektowanego „bombowca uralskiego” to było coś około 6 ton paliwa.

Strata zagłębia nie wpłynęła na sytuację Armii Czerwonej. Nie było niebezpieczeństwa, że ZSRR zostanie bez ropy. Część sprzętu z Baku ewakuowano m.in. do Kujbyszewa, gdzie sowieccy nacierze uruchomili nowe złoża. Wybudowano tam nowe instalacje, także rurociąg. Wydobywanie wróciło do poziomu przedwojennego. Warto zerknąć na mapę, by zobaczyć, jak daleko to było od frontu.

Dlaczego Niemcy, będąc tak blisko Baku, nie podjęli prób skutecznego zbombardowania paliwowego zagłębia ZSRR? Zagadka? W każdym razie nic o tym nie wiadomo. Mamy za to dobrze udokumentowaną transportową katastrofę spod Stalingradu. Mamy także udokumentowane rozmiary alianckich wysiłków podczas strategicznych bombardowań III Rzeszy, gdzie w jednej wyprawie brała udział liczba samolotów porównywalna z liczbą wszystkich maszyn dalekiego zasięgu, jaką posiadały Niemcy. W nalocie na Drezno było ich ponad 530. Wikipedia podaje dwie

różne liczby co do ilości (He 177 900 i 1169 sztuk). Drugim seryjnie produkowanym bombowcem dalekiego zasięgu był Focke-Wulf Fw 200, którego Luftwaffe miała 200 sztuk (za Wikipedią). Oznacza to, że dla uzyskania takiego efektu, jaki uzyskiwali alianci w jednej wyprawie, trzeba by było mobilizować od 1/2 do ok 1/3 niemieckiej floty bombowców dalekiego zasięgu. W nalocie na Duisburg w 1945 roku wzięło udział 1110 bombowców. Do zorganizowania takiej armady Luftwaffe musiałaby zebrać wszystkie swoje maszyny dalekiego zasięgu wyprodukowane w czasie II wojny światowej.

Zapewne rozumowanie, jakie chcę przytoczyć, jest mocno chybotliwe, ale chyba obrazuje sytuację: skoro T-34 produkowano 7,7 raza więcej niż Panter i Tygrysów (a nie liczymy tu czołgów IS-2), to III Rzesza, by uzyskać podobny efekt (czy raczej brak efektów) w nalotach strategicznych na samo ZSRR, jak alianci w nalotach na Niemcy, bez uwzględnienia innych warunków, jak np. efektu rozśrodkowania na olbrzymim obszarze, musiałaby zaangażować środki tak na oko prawie 8 razy większe niż Anglicy i Amerykanie. Skoro sam RAF wystawił 126 tysięcy lotników, to III Rzesza dla samego ZSRR potrzebowała ich lekką rączką licząc jakieś 900 tysięcy. Skoro maszyn Avro Lancaster wyprodukowano 7377 sztuk, to Niemcy potrzebowali podobnych samolotów tak na oko 60 tysięcy.

Nieprawdą jest, że III Rzesza nie posiadała bombowca strategicznego. Ależ posiadała – przynajmniej dwa typy maszyn zdolnych do osiągania celów na dalekim zapleczu, przynajmniej w ZSRR. Sęk był w tym, że średniej wielkości kraj zaczął wojnę z całym światem.

Zadałem sobie to pytanie: jak wyglądał ów „Plan Barbarossa”? To znaczy, co powinny osiągnąć wojska hitlerowskie, żeby w ciągu kilku miesięcy ZSRR zostało pokonane? Czy Hitler wyobrażał sobie, że – na przykład – po zajęciu Moskwy Sowietci stwierdzą „tak, zajęliście mniej niż 10% naszego terytorium, mamy za sobą jeszcze jakieś 8000 kilometrów terenu, w który możemy się cofać, wielokrotną przewagę w ludziach, zasoby surowców, zakłady przemysłowe, lepsze czołgi, wielokrotnie od was silniejszych sprzymierzeńców, ale mimo to się poddajemy”? Nie mogę wygrzebać źródła, w którym wyczytałem, że maksimum zysków terytorialnych w wojnie z ZSRR to było jakieś 8% powierzchni Sojuza, lecz wystarczy spojrzeć na mapę, by zobaczyć, jak w rzeczywistości Niemcy niewiele osiągnęli.

Militarnie do końca 1941 roku udało się osiągnąć wszystko, co było w fizycznym zasięgu. Posunięcie się np. za Moskwę dla Rosjan mogło być najwyżej „moralnym policzkiem”, dla hitlerowców oznaczało dodatkowe kilkaset kilometrów linii zaopatrzenia i długości frontu, który trzeba było obsadzić ludźmi, a tych już brakowało. Hitler zapewne liczył na coś, co określał „kopnięciem w przegnięte drzwi”, na jakiś rodzaj wewnętrznej rewolucji przeciw władzy, może paniki. Tak więc rzeczywistego planu chyba nie było. Były rojenia wodza.

Dlaczego (jak?) ZSRR ma paść, Adolf zaczął kombinować dopiero w 1942 roku. Było to dalej oderwane od rzeczywistości, ale szarża na południe była podparta przynajmniej jakąś teorią. Choć wystarczyło popatrzeć na mapę: dalej było do zdobycia te bagatela osiem (na jakieś pięć) tysięcy kilometrów, na których Związek Radziecki posiadał fabryki, kopalnie, zapasowe złoża ropy naftowej, węgla, wszelkich metali, olbrzymie zasoby ludzkie.

Tymczasem hitlerowcy mieli już na karku wojnę w północnej Afryce, Bitwę o Atlantyk, ruch oporu w okupowanych krajach oraz nieustanne naloty. Trwała technologiczna ofensywa, która systematycznie pozbawiała ich szans w konflikcie. W wojnę wkraczali ze zdecydowaną przewagą (chyba monopolem) w radiolokacji. W roku 1940 John Randall i Harry Boot skonstruowali magnetron wnekowy, i to było m.in. przyczyną katastrofy U-Bootów w 1943 roku.

W tymże 1943 roku odbyła się bitwa pod Kurskiem, wykopano Niemców z Afryki Północnej, alianci wylądowali najpierw na Sycylii, a potem we Włoszech. Po Kursku Niemcy nie odzyskali już nigdy

inicjatywy na froncie wschodnim. W tym roku pomiędzy 28 listopada a 1 grudnia odbyła się konferencja w Teheranie, na której podzielono skórę na żywym jeszcze hitlerowskim niedźwiedziu. Sprzymierzeni wiedzieli, że już jest pozamiatane, zostały tylko dożynki.

W ostatnim czasie zaznaczył się pewien trend w przedstawianiu historii. Pojawiła się grupa twórców, czy może znawców, która robi to w sposób bardzo charakterystyczny.

Bardzo im blisko do tego, co wyprodukował Erich von Däniken. Wszelako do wzmiankowanego (bajko)pisarza nie mam wielu pretensji. Pisał bowiem bajki, i nawet jeśli ktoś uznaje, że fałszował historię, to na szczęście tak to robił, że dla naszego myślenia o świecie niewiele z jego pisaniny wynika.

Alści tak zwani historycy idą tropami wielkiego bajkopisarza i starają się przedstawić swoje wersje zdarzeń, z których ludzkość, jak mi się zdawało jeszcze niedawno, chciała wyciągać ważne, rzecz można zasadnicze nauki.

W głowie mi się pewnie by nie zmieściło, gdy siedziałem na nudnych jak flaki z olejem lekcjach historii poświęconych martyrologii narodu polskiego, że za ćwierć wieku trzeba będzie komuś wbijać do głowy, że bez obłędu nie zrozumie się III Rzeszy.

Tu dochodzę do miejsca, gdzie jesteśmy już głęboko na poletku „fantastyka, fantasy, horror i temu podobne”. Na przykład Bogusław Wołoszański opowiada w swoich programach, że terror Stalina w 1941 roku, jakim zmuszał żołnierzy do walki, i terror Hitlera w 1945 roku, miały to samo podłoże. Stalin chciał doczekać momentu, gdy wojsko upora się z wojskowym bardakiem, a Hitler najwyraźniej miał już na wylocie swoją Wunderwaffe.

Niewinna sensacja, czyli sugerowanie, że Hitler o włos się przeliczył w kalkulacjach, zmienia zasadnicze przesłanie z historii II wojny światowej. Takie mianowicie, że od czasu do czasu rządzący wpadają w obłęd. No bo gdyby naprawdę budowa bomby atomowej była na ukończeniu...?

Sytuacja Stalina i Hitlera była nieporównywalna. Stalinowi groziła najwyżej ewakuacja z Moskwy, za sobą miał dalej terytorium – przypomnijmy – tak osiem na pięć tysięcy kilometrów. Na nim ludzi zdolnych do walki, fabryki i surowce dla nich. Hitler, nim został okrążony w Berlinie, miał do dyspozycji kurczące się terytorium rozległe na kilkaset kilometrów, co przy postępach obu frontów dawało mu kilka, kilkanaście tygodni trwania. Miał wykończoną wojną ludność, z której nie było już kogo powoływać do armii, dawało się formować najwyżej słynny Volkssturm, samoloty uziemione na lotniskach z braku paliwa, rozwalony przemysł. Nie było żadnej Wunderwaffe.

Kiedy opowiada się o pracach nad niemiecką bombą atomową, nikt nie zastanawia się nad bardzo pouczającym i znaczącym faktem. Otto Hahn i Fritz Strassmann w 1938 roku przeprowadzili pierwszą reakcję rozczepienia jąder uranu. Lise Meitner, ich współpracowniczka, w 1939 wyjaśniła proces i doliczyła się dodatkowego produktu reakcji: energii w ilości 200 MeV, co dało teoretyczne podstawy do zbudowania bomby atomowej.

Żadna osoba z tej trójki nie uczestniczyła w niemieckim programie budowy tej bomby. Lise Meitner, którą „Time” w 1946 roku ogłosił „matką bomby atomowej”, musiała w roku 1938 uciekać do Danii, bo mimo wyznania ewangelickiego uznano ją za Żydówkę. Strassmann był na czarnej liście nieprzyjaciół nazistów, m.in. wystąpił w 1933 roku z Niemieckiego Towarzystwa Chemicznego. Przechowywał przyjaciela Żyda. A Hahn z Meitner, wiedząc o kłopotach, przyjęli go do zespołu.

Skąd się wzięła historia z ciężką wodą produkowaną dla Niemców w Norwegii? Otóż w 1939 roku Frédéric Joliot-Curie pracował nad kontrolowaną reakcją łańcuchową z użyciem radu. Niemcy najwyraźniej żywcem skopowali jego eksperyment i poza tym nie zrobili kroku do przodu. Nie

zrobili, bo trzy najlepsze osoby wykluczył obłąd ideologii.

Werner Heisenberg, genialny teoretyk, szef zespołu pracującego nad atomówką, też miał kłopoty. Noblista Johannes Stark opisał Heisenberga jako „białego Żyda” w prasie partyjnej. Pomimo wyraźnego sympatyzowania z nazistami, był nie dość entuzjastycznie nastawiony. Zespołowi, którym kierował Heisenberg, nie udało się nic. Pytanie, ile w tym było pecha, ile braku entuzjazmu Heisenberga do nazistów, a ile faktycznego sabotowania badań? Nie wiemy, czy to tylko naiwne tłumaczenie się wielkiego uczonego rozliczanego z wojennej przeszłości, ale wiele wskazuje, że nie było w jego działaniach partyjnego ognia.

Gdyby ktoś miał wątpliwości co do faktycznej wartości niemieckich badań nad bombą atomową, warto zauważyć, że Wernher von Braun, członek NSDAP i esesman (esesmanów armie na wschodzie i zachodzie rozstrzeliwały na miejscu), trafił do USA wraz ze stuosobowym zespołem, a Heisenberg, noblista, autor zasady nieoznaczoności, zarobił pięć lat paki. Był bezwartościowy.

Ciekawe i pouczające jest to, jak obłąd wyeliminował z wyścigu atomowego chyba najbardziej kompetentnych ludzi na świecie. Dalszą sprawą jest to, że Meitner była pacyfistką, nie włączyła się w program Manhattan, ale ważniejsze, że w Niemczech zespół nie miał żadnych szans działania. Nieważne, jakie kto miał poglądy, w warunkach realnego faszyzmu decydował sposób określenia rasy i trzeba było wiać, aby ocalić głowę.

Myli się Wołoszański, mylą się inni opowiadacze historii III Rzeszy. Nic by się nie zmieniło, gdyby Walther Wever nie zginął w przypadkowym wypadku lotniczym. Upadek był wyznaczony przez proste porównanie liczby ludności zamieszkującej walczące kraje, ich zasobów surowcowych, produkcji, ale też i zarządzania nimi.

Nie jestem nawet entuzjastą-amatorem historii II wojny światowej. Chciałem pokazać coś ogólniejszego i tycającego się nie odległych lat, ale współczesności: gdzieś nam się zgubiło podobno szlachetne dążenie do poznania prawdy. Zostało zastąpione czymś innym, jak się zdaje, bardziej opłacalnym dla autorów.

Porobiło się coś takiego, że historię opowiada się dziś wedle reguł tworzenia literatury dla tego ciemniejszego ludu, zwanej popularną. Podstawowe prawidło dobrego sensacyjniaka jest takie, że musi on trzymać w napięciu do samego końca. Nie może być, że w połowie wiemy, jak się skończy, bo czytelnik rzuci książkę, a widz wyjdzie z kina. Dlatego udowadniamy, że niemiecka bomba atomowa była prawie gotowa, a gdyby bombowiec uralski powstał, to...

Sposób zarządzania ZSRR przez Stalina to był terror, a III Rzeszą władał obłąd. Niezwykle ważną historyczną nauką jest to, że obłąd prowadził prościutko do katastrofy. Wbrew regułom tworzenia dobrego sensacyjniaka, Wielka Trójka już w 1943 roku miała pewność, jak to się musi skończyć.

Uważam, że oburzanie się, że w trakcie rekonstrukcji bitew wszyscy chcą grać w mundurach SS, że ludzie kolekcjonują militaria ze swastykami, że chcą czytać „Mein Kampf”, to zawracanie kijem Wisły. Równie dobrze można się złościć na fascynację historią krwawych wikingów czy odzianych w zwierzęce skóry Słowian, którzy w bitwie pod Grunwaldem wyrznęli kwiat europejskiego rycerstwa.

Nieszczęście zaczyna się robić dopiero wówczas, gdy zaprzeczamy podstawowym naukom, jakie płyną z historii. Z II wojny światowej płynie wniosek, że niektóre ideologie prowadzą do obłądu, a społeczeństwa (może tylko rządzących) ten obłąd zabija. Hitlerowcy nie przegrali dlatego, bo podjęli przypadkowo kilka decyzji. Nie. Obłąd siedzący w ideologii zabił ich od początku, nie dając szans. Jak dla mnie, ważniejsze jest to od prawdy o Holokauście, bo Holokaust jest składową tej nauki.

Nie miałbym o czym pisać, gdyby „pophistoria” istniała tak jak opowieści Dänikena: niejako obok

prawdziwej historii. Sama dramatyczna odmienność sprawia, że trudno rojenia fantasty z czymkolwiek pomylić, wiemy, że to są bajki. Niestety alternatywna historia upodabnia się do poważnego dziejopisarstwa; mam wrażenie, że i zawodowi historycy wyłazą ze skóry, by wymyślić jakąś chwytliwą, stworzoną wedle reguły „napięcie do ostatniej sceny” opowieść. Widać masowa publiczność najbardziej się opłaca.

Wypada tylko na koniec napisać: kochani bujać to my, ale nie nas. Jeśli uwierzymy, to dopiero będzie nieszczęście.

Adam Cebula